

Andrzej Pacałowski

Sygnatura notacji: **N0466**

Data urodzenia: **23.10.1939 r.**

Data nagrania: **05.05.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **63 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Pacałowski: Nazywam się Andrzej Pacałowski, urodziłem się w Warszawie w 1939 roku, 23 października. Moi rodzice Maria i Wiktor mają honor izraelski Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, przyznany za przechowanie rodziny Żydów w czasie wojny, czteroosobowa rodzina żydowska ocalała, szczęśliwie przetrwała w Lublinie okupację. Po okupacji wyjechali do Francji, a później do Stanów Zjednoczonych. Była to rodzina, która była bardzo polska, w domu tylko mówili po polsku przed wojną, byli patriotami, a jednocześnie wierzącymi Żydami. Po przejściu przez getto we Lwowie przyjechali do Lublina. Mój ojciec szukał księgowego ze znajomością niemieckiego. Tenże gentleman Morris Rinde odpowiadał tym warunkom i był zatrudniony w małym interesie, który prowadził ojciec. Ja pamiętam z tego okresu, miałem blisko już przecież 5 lat w 1944 roku, fotograficzne obrazy Majdanka, jak mieszkaliśmy niedaleko i rano wyprowadzano więźniów do pracy w pasiakach, z kapo na czele. To jest taki jeden obraz z tego okresu, tak jak fotografia utrwalony. Więcej z tego okresu nie pamiętam. Pamiętam tylko, że nie były to łatwe czasy, trzeba było zachowywać się bardzo ostrożnie i dzieci miały to wpojone, że nie wolno im mówić na zewnątrz z uwagi na przechowywanie Żydów. Tak że tylko ojciec rodziny żydowskiej się pokazywał, pracował u ojca, matka i dwoje dzieci miały bardziej żydowski wygląd, więc nie pokazywały się w ogóle. To był okres okupacji. Po okupacji wyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane, Prusy Wschodnie, do Brodnicy, gdzie ojciec miał nadzieję rozwinąć biznes prywatny. Ale po rocznej działalności bezpieka, to było chyba rosyjska KGB, Czeka czy coś takiego, w tym czasie zamknęła ojca i się skończyły mrzonki o robieniu interesów w nowej Polsce. Wtedy przyjechaliśmy do Częstochowy i tu ojciec już przestał pracować w przemyśle mięsnym. Zaczął tylko robić małe interesy w przemyśle metalowym. Tak jak większość rodzin polskich, nasza rodzina była bardzo antykomunistyczna. Mojej matki nie dopuścili do pierwszych wyborów 3xTAK jako wroga ludu. I represje, ja byłem najmłodszym dzieckiem z czworga. Mojego brata o 6 lat

starszego w 1953 roku, kiedy miał średnią na Politechnice Śląskiej powyżej 4,5, nie pozwolono mu iść na magisterskie studia, tylko wręczono nakaz pracy i poszedł do huty, ale później po 1956, po odwilży mógł dokończyć studia, robić jako taką karierę w przemyśle metali żelaznych. Ja w szkole średniej, mimo tego, że cała klasa należała do ZMP, odmawiałem. Nauczycielka, wychowawczyni mówiła: „Przecież nie dostaniesz się na politechnikę”. Ale szczęśliwie przyszedł 1956 rok i się dostałem na Politechnikę Warszawską, którą ukończyłem w 1962 roku. I mogłem pracować. Rok pracowałem na Politechnice Warszawskiej, a później z uwagi na restrykcje meldunkowe w Warszawie przeniosłem się z powrotem do Częstochowy, gdzie zacząłem pracę jako kierownik laboratorium w wodociągach, i z tamtego okresu niewiele się zdarzyło, można powiedzieć, jeżeli chodzi o represje komunistyczne. Moja siostra starsza razem z mężem wyjechali do Kuwejtu do pracy i zaprosili nas, moją żonę i mnie, tam. Mnie się nie udało tam znaleźć pracy, moja żona znalazła pracę, więc po roku wróciłem do Polski. Po powrocie do Polski szczęśliwie mój wuj mieszkający w Warszawie poradził mi, żebym poszedł do pracy u Piaseckiego. Piasecki, jak wiadomo, faszysta przedwojenny, w tajemniczy sposób układy w Moskwie miał i przyjechał, założył Stowarzyszenie „Pax” i pozwolono mu prowadzić działalność gospodarczą, tak zwane Zjednoczone Zespoły Gospodarcze, 30 małych zakładów w całym kraju. Ja w sumie trafiłem do małego zakładu w Koniecpolu. Tam się zajmowaliśmy przetwarzaniem odpadów tworzyw sztucznych, ponieważ przedsiębiorstwo Piaseckiego nie miało statusu państwowego, nie mogło mieć surowców z państwowych rozdzielników, więc musieliśmy te surowce sami wytwarzać z odpadów, co było bardzo chwalebne dla, szczególnie z dzisiejszego punktu widzenia, ochrony środowiska i likwidacji śmieci. U Piaseckiego w zakładzie koniecpolskim ciekawą rzeczą było, że przewodniczący, tak nazywano Piaseckiego w tych kręgach i w zespołach gospodarczych, lekko przytłumionym głosem wydał tajną instrukcję nieprzyjmowania ludzi należących do partii do pracy. W sumie w zakładzie mieliśmy 200 osób, a było tylko 3 członków partii, co już było niebezpieczne w tym sensie, że mogli założyć komórkę partyjną, ale nie zakładali, mimo że ich było trzech. Mnie to bardzo się podobało, że pracuję w zakładzie, gdzie się nie przyjmuje partyjnych, ale po 5 czy 6 latach pracy pewne nieporozumienia się wkradły między mojego dyrektora i mnie. Ja byłem dyrektorem technicznym, on był stary działacz paxowski, ja nie zapisałem się do „Paxu”. I znalazłem pracę w Petrochemii Płockiej w Biurze Projektów. W Biurze Projektów to był bardzo ciekawy okres, bardzo aktywny byłem w organizacjach, które nie miały wielkiego związku z komunistycznymi organizacjami, byłem prezesem klubu brydżowego, byłem w lidze przyrody, Lidze Ochrony Przyrody i tak dalej. Do czasu, jak przyszedł, najpierw była 1978 [1979] wizyta papieża, bardzo znamienita, też mam żywe obrazy. Byłem w Częstochowie, kiedy papież wylądował helikopterem koło katedry. Cała droga od katedry do Jasnej Góry, ponad 2 km, ułana była kwiatami. Milicja była poukrywana po bocznych ulicach, nie interweniowała, spokój był i porządek dzięki straży kościelnej ochotniczej. Kiedy papież przejeżdżał al. Najświętszej Maryi Panny, też jedna scena utkwiła mi głęboko. Dwóch osiemnastolatków stało koło nas, jeden wyciągnął papierosa, a ten drugi go zbeształ. „Papierosa? Przecież papież jedzie”. To tamten schował tego papierosa. W każdym razie naród, wtedy duch narodu został pobudzony wyraźnie. Wyraźnie Polska była zjednoczona już przez samą wizytę papieża. Tak że kiedy w 1980 roku przyszła fala strajków i podpisane porozumienia w sierpniu i wrześniu w Szczecinie, Gdańsku, na Śląsku, to w naszym Biurze Projektów praktycznie 95% zadeklarowało się do nowego związku. Wtedy nie mieliśmy jeszcze żadnego obrazu, czym mają być te związki. Czy mają być branżowo, czy profesjonalnie, czy inaczej. W każdym razie skończyło się na tym, żeśmy powołali Międzynarodowy Komitet Założycielski na pierwszym takim zebraniu w Domu Technika. Podałem pierwszy myśl, że przede wszystkim trzeba zabezpieczyć finanse nowych związków, więc wszyscy organizatorzy związków ze wszystkich zakładów obecnych na tym spotkaniu dostali instrukcję, żeby dać wszyst-

kim członkom związku takie deklaracje, że cofają zezwolenie na potrącanie składki comiesięcznej na branżowe związki, a pieniądze te żeby księgowość pobierała na rzecz nowych związków. Wtedy też pierwszy międz Zakładowy komitet żeśmy powołali. Było nas pięciu. Major Płocka dał nam mały lokal, 20 metrów kwadratowych, pokój z kuchnią. Tam żeśmy się spotykali, ale po drugim czy trzecim spotkaniu rzuciłem myśl: „Przecież branżowe związki niedawno wybudowały budynek związkowy w Płocku. Chodźmy i zajmijmy ten budynek, bo przecież to nasz, za nasze pieniądze”. Poszliśmy, wieczór był, to był już koniec września. Weszliśmy do budynku, kilku pracowników związków branżowych tam było. Powiedzieliśmy: „To jest nasz budynek, za nasze pieniądze zrobiony. My tu będziemy, zaraz przyjdzie straż robotnicza z Petrochemii”, to był taki blef, „i będziemy tu urzędować”. Poszliśmy na ugodę, że oni będą na jednym piętrze, a my na drugim piętrze. Zadzwoniliśmy po tę milicję robotniczą. Jeden z członków związku z opaską na rękę już tam był na dole i mieliśmy trochę więcej miejsca. Ale na jednym z pierwszych tych zebrań zarządu, już mieliśmy wielu, około 200–300 zakładów chyba, z przynależnością do związków, na tym zebraniu ktoś rzucił myśl, żeby jednak ten budynek branżowych związków oddać na rzecz sierocińca, który to sierociniec miał ciężkie warunki, przy kościele św. Stanisława był umieszczony, i żeby te sieroty przeszły tam. Tak żeśmy taki handel zrobili. Nie był to nasz budynek, więc łatwo było podarować, formalnie to była przecież własność, przejęcia nieruchomości nie było przez nas, ale oddaliśmy ten budynek, przenieśliśmy się do Stanisławówki, jak to nazywaliśmy tutaj, i mieliśmy dużo miejsca i dużo terenu, żeby się organizować. Wtedy powstała sekcja propagandy, czyli drukarnie, wypożyczalnia literatury poza oficjalną i organizowaliśmy życie związkowe w tych zakładach. Płock był, muszę powiedzieć, bardzo dobrze zorganizowany w tym czasie w stosunku do innych okręgów i mieliśmy już kilkaset tysięcy członków razem wszystkich zakładów. Ziemia Kutnowska się wyłączyła, nie bardzo chcieli się przyłączyć do nas, ale i bez tego było dostatecznie dużo członków. W tym czasie mieliśmy, stworzyły się pewne tarcia w prezydium MKZ-u. Już było po przyjęciu i po genialnej myśli połączenia wszystkich MKZ-ów w jeden wielki związek. Nasi przedstawiciele pojechali do Gdańska, przyłączyliśmy się, nazwę mieliśmy „Solidarność” i, można powiedzieć, byliśmy w pełni zorganizowani. Szczególnie znamienym był strajk protestacyjny godzinny z uwagi na odmowę Sądu Najwyższego zarejestrowania jednego związku. Ta godzina to była oszołamiąca. Wszędzie biało-czerwone sztandary, wszędzie biel i czerwień. Cały Płock był. Wtedy władze ustąpiły i zarejestrowały „Solidarność” jako związek. U nas w naszym okręgu, w prezydium zaczęły się tarcia, podgryzania, jak to w każdej organizacji. W sumie, można powiedzieć, przewodniczącemu się nie podobało moje działanie jako wiceprzewodniczącego, w związku z tym, z powodu tych tarć, dla dobra sprawy zrezygnowałem i zająłem się Komitetem Obrony Więzionych za Przekonania. To była mała grupa bardzo aktywnych ludzi. Był między nimi niejaki dżentelmen Widuta, który był repatriantem z Rosji. I on pisał dużo. Wywiesiliśmy ulotki z okazji rocznicy wrześniowej, ujawniające całą historię i napaść Rosji od strony Wschodu. To było powodem, że prokuratura wojewódzka rozpoczęła dochodzenie przeciwko nam o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości o rzekomej napaści Związku Radzieckiego na Polskę. Ale to dochodzenie trwało, swoją drogą w międzyczasie mieliśmy ciekawą akcję postawienia Krzyża Katyńskiego. Robotnicy z zakładu maszyn żniwnych zrobili duży krzyż pięciometrowej wysokości i przywieźliśmy go, żeby postawić na cmentarzu płockim. Ale kierownictwo cmentarza zamknęło bramę i powiedzieli, że nie otworzą bramy. Pojechałem tam i debaty się na niczym nie skończyły. W końcu mówię: „Jeżeli oni nie chcą otworzyć bramy, to przecież jest tu nas blisko 20 chłopów, weźmiemy tę bramę do góry, z zawiasów wyjmemy i przestawimy obok”. Przetawiliśmy bramę, samochód mógł wjechać z krzyżem i Krzyż Katyński stanął na płockim cmentarzu. To było takie małe zwycięstwo. Te wszystkie sprawy w końcu się zakończyły nocą 13 grudnia. 13 grudnia przewodniczący „Solidarności” Wiśnicki złożył rezy-

gnację i mieliśmy wielkie wybory na terenie Petrochemii nowego przewodniczącego i zarządu. I tam po drugim głosowaniu mnie wybrano jako przewodniczącego, ale już północ była bliska, zwolennicy Wiśnickiego wymusili na nim, żeby cofnął swoją rezygnację, został, on cofnął. Skończyliśmy zebranie po 12, czyli już był stan wojenny. Pojechaliśmy z żoną samochodem, ulice były puste, śniegiem pokryte lekko. Nie miałem benzyny, wstąpiłem na stację benzynową, a tam pracownik mówi: „Nie możemy sprzedać benzyny, jesteśmy zamknięci, koniec”. Przyszliśmy do domu, 15 minut później walenie do drzwi i stoi grupa milicyjna. Kapitan milicji na czele, cywil, bezpieczarz, dwóch milicjantów i mówią: „Koniecznym potrzebujemy pana i pana żonę w kombinacie, bo tam jest sytuacja, jakiś sabotaż”. Podejrzane to się nam wydało, więc mówię: „To proszę w takim razie, panie kapitanie, podpisać zobowiązanie, że nas pan zawiezie do kombinatu i odwiezie”. On to podpisał. Żona wzięła ten papier, poszła do sąsiadów i zostawiła. My wsiedliśmy razem z nimi do Nysy, ale Nysa oczywiście nie jechała do kombinatu, tylko do komendy. Stalowa brama się otworzyła, a tam szpaler milicjantów z pistoletami maszynowymi i psami. „Ha”, mówię, „to ładnie nas pan oszukał, panie kapitanie”. On mówi: „Trudno, stan wojenny”. Następnego dnia, jak się później dowiedzieliśmy, bezpieczka przyszła do sąsiadki i powiedziała: „Poproszę ten papier”. I musieli oddać ten papier z zobowiązaniem bezpieczki. My natomiast, moja żona była przewodniczącą związków w ośrodku badawczo-rozwojowym. Była aktywna, razem ze mną działała. Ją z drugą jeszcze panią odwieźli na Olszynkę Grochowską, a nas nad ranem wsadzili do kibitek i zawieźli do Mielęcina, gdzie znowu nas, stalowa brama otwarta i strażnicy z psami. To było takie uderzenie niemiłe, ale trzeba było jakoś się zachować, więc naczelnik więzienia, pułkownik Tretyn, opróżnił jeden z bloków więzienia, bo tam miał trzy chyba bloki. Dwa bloki były kryminalnych więźniów i jeden był dla internowanych. Kiedy tam już byliśmy w celach i usłyszeli przez głośniki, jak Urban mówi, że przecież internowani są w doskonałych warunkach, w domach wczasowych porozmieszczani, to wtedy się zaczął protest. Miski te aluminiowe brzęczały o drzwi, stukania, hałas straszny. A pułkownik Tretyn zmobilizował strażników do uciszania wszelkich niepokojów więziennych. Postawił ich na korytarzu, kazał im otworzyć drzwi i powiedział: „To popatrzcie, macie alternatywę”. Nie kazał wtedy nic robić. I się uspokoiło na pewien czas. Ale po pewnym czasie, to było już przed Wielkanocą, kiedy ogłosiliśmy strajk głodowy, przestali jeść. Przyłączyło się do tego strajku około 25 internowanych. W sumie wtedy nie jadłem ponad 20 dni, co było z uwagi na zdrowie całkiem dobre. Traciłem około pół kilograma dziennie średnio. To był strajk głodowy o bezprawne uwięzienie, szczególnie żeby uwolnić kobiety. Żądanie było takie. Przed Wielkanocą samą już, pierwszy dzień Wielkanocy, przestaliśmy, przerwaliśmy tę głodówkę. Moją żonę zwolniono wtedy. Wracając do domu, wstąpiła, jeszcze kiedy były ostatnie dni strajku głodowego, naczelnik więzienia powiedział jej, że oczywiście da widzenie, mimo że to już był wieczór, w nadziei, że ona namówi mnie do przerwania tego strajku głodowego. Ona powiedziała: „Ja nie mam takiego wpływu na męża. On ma zawsze własne zdanie”, ale żeśmy się zobaczyli wtedy. W międzyczasie ja trochę zacząłem cierpieć na oczy, w związku z tym bezpieczka mnie przywiozła na Rakowiecką w Warszawie, żeby mnie przebadali lekarze tutaj w Warszawie, tak że miałem okazję zobaczyć, jak wygląda od środka więzienie na Rakowieckiej, ale byłem tam tylko tydzień. W międzyczasie cały czas były akcje zwalniania. Więcej zwalniano, niż przywożono nowych, ale był ten ruch w tę i z powrotem. W każdym razie ilość internowanych pomalutku spadała i wtedy postanowiono wszystkich internowanych skomasować w kilku ośrodkach. W międzyczasie, kiedy rozmawiałem z naczelnikiem więzienia, byłem takim niepisanym przywódcą internowanych, bardzo aktywnym w tworzeniu różnych instrukcji, grypsów i tak dalej, między innymi odnośnie do zachowania się względem bezpieczki. Moją naczelną zasadą było nie rozmawiać i to wszystkim zalecałem, ale ludzie w nadziei, że może im to pomoże, może nie, rozmawiali jednak, nie wszyscy, ale rozmawiali z bezpieczką. Ja do naczelnika więzienia

protest złożyłem, powiedziałem, że to jest więzienie podległe Ministerstwu Sprawiedliwości, on nie ma prawa wpuszczać bezpieki do tego więzienia. On mówi: „Ja ich nie wpuszczam jako bezpiekę, oni wchodzić jako goście, wizytujący. Ja im odbieram broń na bramie”. „Jeżeli wizytujący”, powiedziałem, „to w takim razie mamy pełne prawo odmawiać te widzenia”. „Tak”, on mówi, „oczywiście”. Odmawialiśmy, wielu odmawiało, wielu nie odmawiało. W każdym razie na pewno zalecałem, żeby nie podpisywali niczego, broń Boże. Bo to jest wciąganie pomału. I taki jeden przyszedł młodzik, troszkę przemądrzały, poszedł na to widzenie, coś tam podpisał, oni go znowu za kilka dni. „Widzisz”, mówię, „wszystko dokładnie, tak jak mówiłem, jest”. A on mówi: „To już więcej się nie dam oszukać”. No dobrze. I tak to było. Pojechaliśmy w ramach komasacji, całą naszą grupę, razem z innymi, skomasowano w Kwidzyniu. Kwidzyń był takim więzieniem, który dostarczał pracowników do zakładów pracy, czyli nie takim o największym rygorze, ale też miał trzy budynki, dwa z kryminalny... Nie. Jeden był tylko kryminalnych i dwa budynki dla internowanych. Tam już się poprawiły warunki w sensie swobód, to znaczy cele w dzień były otwarte, można było wychodzić na otwarty teren, grać w siatkówkę i tak dalej. Ale przyszedł 15 sierpnia 1981, kiedy rodziny, które przyjechały z wizytą, nie zostały wpuszczone, nie wszystkie zostały wpuszczone. Zaczął się protest.

Grzegorz Łeszczyński: 1982 rok, tak?

Andrzej Pacałowski: 1982, bo to był nowy naczelnik więzienia, Pobłocki, i on postanowił rządzić twardą ręką. Zwołał z innych więzień te specjalne brygady, straż pożarna. Straż pożarna odmówiła wjazdu na teren więzienia, więc tylko te specjalne oddziały weszły. Najpierw wodą, pod ciśnieniem wszystkich zlikwidowali z terenu, a oni weszli i zrobili te ścieżki zdrowia, czyli ustawiali się z pałami wzdłuż korytarza, a internowani musieli przebiegać przez te ścieżki, a oni tłukli jak mogli. W sumie później jeszcze specjalną pacyfikację w niektórych celach robili, bo mieli takich na oku, którzy im dokuczali najbardziej, tych specjalnie jakoś mocno potraktowali. Kiedy następnego dnia przyjechała Komisja Czerwonego Krzyża i lekarz szwajcarski oglądał tych ciężko pobitych, ja byłem jako tłumacz przy tym lekarzu i widziałem nieprzytomnych internowanych, którzy nie mieli ani jednego miejsca na ciele, które nie byłoby sine. Zalecenia szwajcarskiego Czerwonego Krzyża były, żeby tych najbardziej pobitych przenieść do szpitala, co też zrobiono później. I przenieśli ich do szpitala. W sumie większość internowanych była pobita, tak ciężko chyba było około 17 pobitych, mocno. Od razu żeśmy doniesienie do prokuratury pisali indywidualne, wszystkie poszły oczywiście i legalnie dostaliśmy odpowiedzi, że wszystko było zgodnie z prawem zrobione. W każdym razie, jeżeli chodzi o mnie, to było przyczynkiem do podjęcia decyzji, żeby jednak za sugestią bezpieki wyjechać. Pomyślałem sobie: jak mam tu być zatłuczony za kratami, to już lepiej wyjechać. Powiedziałem to, zgłosiłem to do bezpieki, a oni powiedzieli: „Przygotujemy paszporty dla pana i żony”. Ja mówię: „Nie, ja muszę być najpierw zwolniony, a później mogę jechać, muszę załatwić wiele spraw”. „No to jak długo pan potrzebuje?” „Potrzebuję tyle czasu. Ile to mi zajmie? Kilka tygodni”. Zwolnili mnie w październiku, następnego dnia przyszedłem do pracy, rozmawiałem z wszystkimi kolegami, opowiadałem o internowaniu i już następnego dnia dostałem pismo: „Jest pan zwolniony natychmiastowo i z zakazem wstępu na teren biura i na teren kombinatu”.

Grzegorz Łeszczyński: Jakiś powód podano tego zwolnienia?

Andrzej Pacałowski: Nie. Poszedłem i złożyłem wniosek do sądu, skargę o bezpodstawne zwolnienie. Rozprawa się odbyła dosyć szybko, ale skład sędziowski, to znamienne też było, że na sali sądowej już nikogo nie było poza mną i sędziami. Ludzie byli przerażeni, ludzie bali się. I sędzia powiedział: „Nie mogę nic zrobić, bo jest stan wojenny. Mogę tylko przyznać panu odszkodowanie, trzymiesięczne wynagrodzenie z powodu tego bezpodstawnego zwolnienia”. To trudno, ale w międzyczasie bezpieka nerwowo już zaczęła działać. Przyjechali do domu, rewizję znowu zrobili, przerzucili wszystko. Znaleźli jakieś tam materiały nielegalne niby, ale wzięli nas do komendy. Na temat tych ulotek słowa nie powiedzieli, tylko zapytali prosto: „To kiedy pan wyjeżdża?”. „Dobrze”, powiedziałem, „niech będzie”. I 16 stycznia 1983 wylecieliśmy do Frankfurtu, gdzie przygotowano cały proces zezwolenia na stały pobyt w Stanach Zjednoczonych dla nas. Przyjechaliśmy do Stanów, oczywiście nic nie wiedząc o tym, czym to jest, jak to jest. Organizacje charytatywne się zajmowały, nami się zajęła taka organizacja polonijna z Nowego Jorku. Oni nam zapłacili za czynsz, za mieszkanie za pierwsze trzy miesiące. Inni ludzie pomogli nam znaleźć pracę. Ja zacząłem od pracownika budowlanego na budowie. Trafiałem do Houston, które jest centrum chemicznym, petrochemicznym światowym, można powiedzieć, ale wtedy 1983 to był kryzysowy i wtedy były zwolnienia, a nie przyjmowanie do pracy, jeżeli chodzi o moje kwalifikacje. Więc najpierw byłem robotnikiem budowlanym, później byłem robotnikiem magazynowym. Po kilku latach wreszcie się dostałem do biura projektów. Już wtedy żeśmy odetchnęli, bo te pierwsze lata były naprawdę trudne, szczególnie że nie mieliśmy ubezpieczeń zdrowotnych. Nie mając ubezpieczenia, jest się narażonym jednak na poważne koszty, gdyby coś się stało. Ale już po otrzymaniu pracy w zawodzie w biurze projektów mieliśmy, normalne życie rozpoczęliśmy i tak to do dzisiaj jest. Próbowaliśmy wrócić do Polski, ale konsul nam przysłał w 1976 [’86] pismo, że nie wolno nam wracać do Polski, władze państwowe się nie zgadzają na powrót pana do Polski. Pan Rinde, jego żona i dwoje dzieci mieli również wiele kuzynów i kuzynek, więc Rinde, ponieważ miał już jakąś ostoję, znalazł lokum, gdzie mógł ulokować żonę i dzieci, ale kuzynka, która przyszła, dwie kuzynki, które przyszły, jedna była w naszym domu. W mieszkaniu, które Rinde wynajął, tam było chyba około 5–6 osób. Kuzynka, która była u nas, miała bardzo taki semicki wygląd. To też był problem. Ona po prostu nie wychodziła z domu nigdy. Pomagała mamie, mama miała czworo dzieci, więc miała dużo pracy z tymi dziećmi. W tych trudnych warunkach przecież to było okupacyjnych. Przez te lata, które ja pamiętam, to nie mieliśmy żadnego, był jeden moment donosicielstwa u ojca w zakładzie. Przyszła granatowa policja, powiedziała: „Pan ma tu Żyda”. Ojciec mówi: „Jakiego Żyda? Szukajcie, nie ma żadnego Żyda. Poza tym jak chcecie szukać? Na trzy zmiany oni pracują wszyscy. Jeżeli zaczniecie sprawdzać jedną zmianę, a jeżeli rzekomy Żyd jest, to on ucieknie przecież z tej drugiej czy trzeciej zmiany, bo będą te poszukiwania”. Ale w sumie ojca wezwali do tej granatowej policji. I tam szczęśliwym trafem, kiedy ojciec przyszedł, tym komendantem granatowej policji okazał się jego dobry znajomy sprzed wojny. Więc ojciec mówi: „Popatrz, co to jest, szukają Żyda, co mamy zrobić?”. To ten komendant granatowej policji w Lublinie powiedział: „To ja ten donos wyrzucę”. Podarł i wyrzucił. Sam Rinde, kiedy się o tym dowiedział, chciał uciekać od razu, ale ojciec mówi: „Broń Boże, bo jak uciekniesz, to będą wiedzieli kto i będą cię szukać”. Więc został i dalej pracował u ojca. On nie miał wyglądu żydowskiego, był blondynem z niebieskimi oczami, dobre miał papiery, kupione od Polaków. Tam była kwestia, że ten chyba fałszerz papierów, w jego nazwisku „rz” przekreślił, tak że ona miała bez tego „rz”, ale jakoś z tymi papierami przeżyli i dobrze się mieli na szczęście. Oni przyjechali w 1942 pod koniec. Lublin był wyzwolony w 1944. Tak, to było dwa lata. Rinde zgłosił się do Izraela po wojnie już chyba pod koniec lat 40. I wtedy nadano ten tytuł Sprawiedliwy. Posadzono drzewko tam w Izraelu itd. Ojciec dosyć wcześniej zmarł, w 1963 roku. Mama wtedy już jako wdowa pojechała na zaproszenie do Rindów i tam ją bardzo ładnie przyjęli w tym takim żydowskim ośrodku

na Florydzie. Publicznie Rinda ją przedstawił.

Grzegorz Łeszczyński: Oni do Stanów wyemigrowali też?

Andrzej Pacałowski: Tak, najpierw do Paryża, później do Stanów. Tam się urodziło im trzecie dziecko. I ja z tym ostatnim synem rozmawiałem kiedyś po polsku. On się urodził już przecież poza Polską, a bardzo płynnie mówił po polsku, bo oni zawsze w domu mówili po polsku, Rindowie. Tak że to było bardzo sympatyczne i ładne z ich strony. Ambasada polska w Kuwejcie wystosowała jakieś pismo o powrót, natomiast myśmy nie chcieli z nakazu wracać, więc to była ta odmowa. Oficjalnie nie było odmowy, ale oni uznali to jako odmowę.

Grzegorz Łeszczyński: Pan z żoną, tak?

Andrzej Pacałowski: Z żoną, tak. Ona dostała pracę, a ja nie. To znaczy dostałem pracę w sumie, ale to było kilka dni przed wybuchem wojny 1967 roku. To pamiętam też wyraźnie, jak cały Kuwejt był w euforii, jak to się zlikwiduje żydowskie państwo, jak natychmiast ruszą te wszystkie armie Egiptu, Kuwejtu, Syrii, Iraku i zmiażdżą ten Izrael. Okazało się, że wojna trwała trzy dni i klęską arabską się skończyła wielką, tak że ta euforia wielka opadła. Wtedy, jak ta wojna wybuchła, mnie anulowano tę wizę do pracy. Ponieważ miałem tę wizę wykreśloną z paszportu, to sobie pomyślałem, że nie ma innej rady, tylko trzeba jechać do kraju. I pojechałem do kraju, żona została jeszcze do końca kontraktu swojego pracy. I ja wtedy pojechałem, wtedy poszedłem do pracy do Zjednoczonych Zespołów Gospodarczych Piaseckiego.

Grzegorz Łeszczyński: A żona kiedy wróciła?

Andrzej Pacałowski: Rok później.

Grzegorz Łeszczyński: A w roku 1976 pan pracował w Płocku?

Andrzej Pacałowski: Tak, tak.

Grzegorz Łeszczyński: Czy te wydarzenia związane z protestami robotniczymi jakoś też pan zapamiętał?

Andrzej Pacałowski: Tak, też znamienna scena. Wtedy zaczęły się pochody i protesty w Płocku, tłumione od razu przez milicję. My, pamiętam, poszliśmy pewnego dnia do największego kina w Płocku na ulicy Tumskiej, wychodzimy z tego kina, a tu zajeżdżają Nisy, wysypują się milicjanci, żona mówi: „Popatrz”, ja mówię: „Ty nie patrz, tylko uciekajmy, bo będą bili zaraz”. Ona naiwnie myślała, że to tak można popatrzeć na tych bojowników zomowskich. Żeśmy musieli biegiem uciekać, bo było tam pałowanie tego tłumu, który wyszedł zresztą z kina. Tak że tylko tyle pamiętam z tych rozruchów płockich.

Grzegorz Łeszczyński: Bo pan się nie angażował w tym momencie?

Andrzej Pacałowski: Nie, nie. To nie były zorganizowane, to były spontaniczne zgromadzenia, pochody. To bardzo spontaniczne było wtedy. Tylko aresztowano wielu i wtedy KOR powstał i próbował bronić aresztowanych, często zupełnie niewinnych ludzi. Ale zorganizowanego ruchu nie było wtedy, nie. Mieliśmy tylko kontakty z Warszawą, z KPN-em, ale próbowali założyć coś w rodzaju komórki płockiej, ale w sumie nie doszło do tego. Działaliśmy jako ten Komitet Obrony Więzionych za Przekonania.

Grzegorz Łeszczyński: I tutaj największa akcja to jest z Krzyżem Katyńskim, tak?

Andrzej Pacałowski: Z krzyżem, ulotkowa akcja, rozwieszanie ulotek po mieście, gdzie bardzo dużo młodych ludzi mieliśmy zaangażowanych. Oni kolportaż ten nalepiania ulotek prowadzili.

Grzegorz Łeszczyński: A ulotki czego dotyczyły głównie?

Andrzej Pacałowski: Informacji historycznych i właśnie z okazji napaści Rosji 17 września 1939 roku. Mieliśmy w Płocku trochę pamiątek z 20-ych lat Cudu nad Wisłą. Tamte miejsca staraliśmy się też jakoś ujawnić, bo nie były oficjalnie one przecież uznane. Trzeba było dopiero odgrzebywać to i uświadamiać ludzi, jaka rola Płocka była w wojnie 1920 roku. Warunki w Mielęcinie były względnie dobre, to znaczy nie było problemów z wyżywieniem, nie było zbytniego tłoku w celach, maksymalnie kiedyś było nas pięciu w celi, ale to było bardzo krótko. I tak przez resztę czasu to było około 3–4 nas w jednej celi. Mieliśmy 4 łóżka. Deski z tych łóżek służyły do wyrobu różnych pamiątek. Ja zacząłem się bawić makramami, czyli wiązaniem supełkowych różnych też pamiątek, krzyże, takie makatki inne. Miały one wielkie wzięcie wśród znajomych i rodzin, którym przekazywaliśmy te pamiątki na widzeniach. I to było naprawdę niesłychane, jak ludzie pragnęli czegoś takiego, żeby wziąć i powiesić u siebie w domu. Taki krzyż zrobiony przez internowanych czy inną pamiątkę. I to było główne zajęcie poza pisaniem protestów. Różnego typu rzemiosło takie więzienne.

Grzegorz Łeszczyński: Byliście odizolowani od więźniów kryminalnych? To były w ogóle różne bloki?

Andrzej Pacałowski: Tak, ale był moment, kiedy bezpieka chciała taką akcję zrobić troszkę nękającą i zaczęła internować kryminalnych. W naszym bloku jedna cela właśnie była zajęta przez internowanych kryminalistów. Czterech ich było.

Grzegorz Łeszczyński: To znaczy przenoszono ich z tamtych bloków tutaj?

Andrzej Pacałowski: Nie, to byli internowani. Nowych kryminalistów skądś tam mieli listy pewnie na policji, na milicji i dawali ten nakaz internowania, i przywozili. I taka próba chyba była psychologicznego oddziaływania. Ale myśmy się tym nie przejmowali specjalnie. Kryminalni byli zresztą często bardzo patriotycznie nastawieni i jak mogli,

to pomagali, szczególnie informacje różnego typu, odnośnie klawiszy, więziennego życia i tak dalej. Tak że to nie było dla nas uciążliwe, mimo że bezpieka takie chwytły miała z tym internowaniem kryminalnych i wsadzeniem do tego bloku internowanych kryminalnych więźniów. To nie byli więźniowie właśnie, bo nie mieli wyroków, tylko to były te papierki podpisane przez komendanta bezpieki, który się zresztą podpisywał wszędzie nieczytelnym podpisem, zygzakiem jakimś. On był postawiony przed sądem 2 lata temu już jako ponad 80-letni człowiek, ale nie doczekał końca sprawy, bo umarł. Tak, wielu uciekło sprawiedliwości poprzez. To samo Pobłocki zmarł na serce, komendant Kwidzyna. Mieliśmy kilka akcji. Czuma przyjechał do Houston, robił składki, zbierał. Mieliśmy kontakt stały, listowy z rodziną przecież w kraju. Tak że życie w Polsce, byliśmy dobrze poinformowani.

Grzegorz Łeszczyński: Kiedy Pan pierwszy raz przyjechał do Polski po wyjeździe?

Andrzej Pacałowski: Pierwszy raz dopiero w 1989 roku, bo w 1976 próbowałem, to dostałem informację, że nie zgadzają się władze na to, żebym przyjechał. Tak że w 1989 przyjechałem.

Grzegorz Łeszczyński: Już po tych przemianach, tak? Po częściowo wolnych wyborach?

Andrzej Pacałowski: Tak, tak. Już była inna atmosfera, już nie było problemów z wjazdem, wyjazdem.

Grzegorz Łeszczyński: A nie myślał Pan o tym, żeby pozostać w Polsce, wrócić? Czy już jednak związał Pan swoją przyszłość ze Stanami Zjednoczonymi?

Andrzej Pacałowski: Myślałem. Można powiedzieć, ciągle myślałem o tym, żeby wrócić, ale związany byłem rzeczywiście z pracą, z której byłem bardzo już zadowolony, i byłem cenionym pracownikiem. Mieliśmy nawet zawodowy kontakt, to znaczy sprzedaliśmy jedną licencję do zakładów chemicznych tu koło Wrocławia. Rokita. Proces taki sprzedaliśmy im wytwarzania polioli, które to poliole są podstawowym składnikiem wszystkich poliuretanowych tworzyw: pianek, lakierów i innych. Taką licencję sprzedaliśmy. I ja tu służbowo przyjechałem. I byłem w kontaktach jako projektant, współprojektant sprzedaży tej licencji do zakładów Rokita. Zakład został wybudowany i poliole wytwarzane na dużą skalę są w Rokicie. Tak że ten kontakt z krajem był i, można powiedzieć, jest, trochę przerwany przez koronawirusa. W międzyczasie przeszedłem na emeryturę. W 2006 roku już przeszedłem na emeryturę z uwagi na swój wiek.